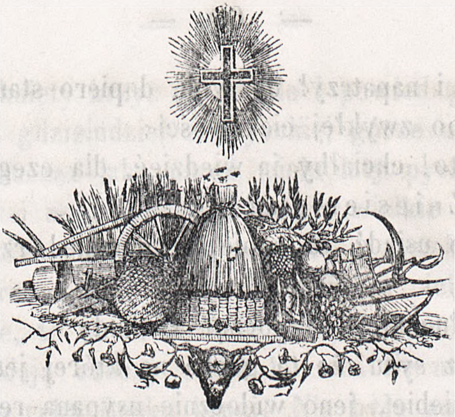
Tom I. Nr. 5.

11. Sierpnia 1859.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Tatarzy.

Jednej niedzieli w południowy czas wybrał się nasz majster rymarski Walenty ze swoim Wojtkiem na przechadzkę za miasto. Majster wystroił się dzisiaj od święta w granatową kapotę, długą aż po same kostki i o świecących guzikach, na szyi miał chustkę czerwoną, zawiązaną na wielki fontaź, a na głowie wysoka rogatywka ze siwym barankiem spadała mu z fantazją na ucho. W prawej ręce trzymał sporą laskę z głogowego drzewa, pomalowaną na czarno i z przywiązanym rzemieniem u grubszego końca, zaś lewą prowadził synka, który skacząc jak wróbelek na nitce, z wesołą, rumianą twarzyczką i z śmiejącemi oczki drepcił niedużym krokiem wedle ojca. Przeszedłszy ulicę franciszkańską, zboczył Walenty na lewo na Dobromilski gościniec. Za rogatką znowu w bok na prawo od drogi poszli wąską dróżyną wedle nowego cmętarza pod górę i niebawem wydostali się na wysoki kopiec, zwany Zniesieniem, zkąd taki piękny widok na dalekie i równe pola ku Lwowu. Tu dopiero Walenty, że był setnie zmęczony, rozścielił chustkę na trawniku, zdjął z siebie kapotę i wypoczywał na ziemi, gdy tymczasem Wojtuś kręcił się jak jaka furkawka do koła, przyglądając światu, który mu się teraz taki cudny wydawał być z wysoka. Aż kie-

dy się zmachał i napatrzył do woli, dopiero stanie przed ojcem i zagadnie go po zwykłej ciekawości:

— Mój tato! chciałby ja wiedzieć, dla czego tu ludzie nazwali tę górę Zniesieniem?

— No, to usiądź tu sobie przy mnie! rzeknie ojciec — a powiem.

Wojtuś usłuchał — i począł Walenty:

— Widzisz synu, że ta górka na której jesteśmy, nie jest taka sama ze siebie, jeno widocznie usypana rękami ludzkiemi. A było to dawno, bardzo dawno temu, jak niesie podanie. Dzikie Tatary najechali kraj nasz i jako brzydka szarańcza, niszcząc wszystko po drodze, już byli do samego Przemyśla dotarli. Tu im dopiero nasi dojechali końca. W imie Chrystusa i Najświętszej Panny uderzyli na nich odważnie, choć byli w mniejszej liczbie. Długo zwycięstwo się chwiało na obie strony; aż któryś z naszych dopatrzał był na tej górze, gdzie oto stoi kopiec, wielkiego Chana, tatarskiego wodza co siedząc na pysznym koniu, dowodził z tamtąd swojemi wojskami. Tedy nasz chwat, nie myśląc długo, uczyni krzyż święty i jak się zmierzy do niego od oka, tak w samo serce ugodzi Tatara, że na miejscu padł z konia i ani ziewnął. Śmierć wodza sprawiła wielki popłoch między poganami, zaczęli się mieszać i dali w nogi tam i sam, gdzie który mógł. A wtedy nasi jak nie wpadną im na karki i nie wezmą rąbać od ucha, tak posiekli i całe wojsko tatarskie znieśli do szczętu. I na tę pamiątkę usypali potem w tem miejscu, gdzie był on wielki Chan zabity, wysoki kopiec i nazwali go Zniesieniem.

Cóż? wiesz teraz synu jak to było?...

— Ta niby wiem; odpowie Wojtuś — ale jeszcze nie ze wszystkiem. Bo i co to byli za jedni, te brzydkie Tatary którym nasi taką kurtę skroili, tego nic a nic nie wiem.

— Prawdę mówisz! należałoby cię i w tem pouczyć — zawoła ojciec, głaskając chłopca po głowie i patrząc w jego ciekawe oczka miłośnie. Nieraz-bo, synu, zdarza ci się w życiu słyszeć o tych Tatarach, zwłaszcza gdy się z całym naszym krajem zapoznasz. To znajdziesz błonia szerokie, które ci ludzie miejscowi nazwą: Tatarskiem polem; tam zobaczysz

przy drodze zatknięty krzyż na mogile i powiedzą: że to krzyż po Tatarach; gdzieindziej na wysokiej górze ukażą ci szczątki murów, tłumacząc jako przed wielu laty pyszny to był zamek co go jednej nocy ubiegli Tatarzy, wielkie skarby ztamtąd zabrali, mieszkańców pognali w niewolę a zamek spalili. Każde miasto, każda prawie wieś u nas ma jakieś o nich podanie, a co posłuchasz które, to aż ci mrowie przejdzie po ciele, takie tam straszne opowiadają rzeczy. Daliż-bo oni się naszej Polsce we znaki — ta niech ręka Boska broni! Nie było ani dnia, ani nocy spokojnej przed nimi, każdej godziny musiałeś się mieć na baczności, żeby cię nie opadli z nienacka, zwłaszcza gdzie Ukraina, Wołyń, Podole i Czerwona Ruś, tam nasi ludzie najbardziej od nich cierpieli. To też w tych stronach najwięcej nasłuchałbyś się o Tatarach, których smutną pamięć zachował biedny lud do dziśdnia w pieśniach swoich i podaniach żałobnych. I była Polska przez długi, bardzo długi czas jako ten mur graniczny, który strzegł resztę świata od dziczy pogańskiej. A nie z kamienia był ten mur, ale z naszych piersi żywych co dla sławy Boskiej i dla miłości kraju stały się takie twarde... jako mur.

Posłuchajże synu, jak wyglądał taki Tatar, jaki ich był kraj i jaki obyczaj. Tatar był to chłop niewielkiego wzrostu, o krótkich nogach, które mu się w kabłąk zwijały i dla tego właśnie do konia jakby stworzony, głowę miał wielką i niekształtną, twarz szeroką bez żadnego włosa, uszy duże, małe oczka krzywe i świecące niby u wilka, w piersiach szeroki i w ciele silny. Ojczyzną tatarską był kraj co leży na południe wedle morza czarnego, zwany Krymem. Niewielki to kraik, ni tam chleba ni soli, ziemie puste i nieuprawne, porastały jeno trawą tak wysoką i grubą, że wozami jeździć tam było niepodobna. Na tej trawie bydła chodowali dużo z którem się po całym kraju włóczyli. Nigdy-bo Tatar na jednem miejscu długo nie posiedział, owszem kiedy chciał na drugiego rzucić przekleństwo, powiadał: Bodajeś na jednem miejscu mieszkał jak Chrześcijanin! — bo sam był poganinem z religji. Żywił się on mlekiem kobylem, surową szkapowiną i gotowanem prosem z końską juchą. To też do dziśdnia jest u nas przysłowie: Obejdzie się Tatarskie wesele bez marcypanów, —

a to zapewne ztąd że tacy byli niewymyślni w jedzeniu. Gdy który z nich zaniemógł, właził w rozpruty brzuch żywemu koniowi i póty tam siedział, póki go ciało zwierzęcia grzać mogło. Najstarszy ich król i pierwszy na wojnie dowódzca nazywał się Chanem, rodzinę jego mianowano Sułtanami. Po nich w starszeństwie następowali Kerimbejowie, którzy byli jakoby Xiążęta i razem stróżami prawa; ich naczelnik nosił tytuł Bega. Od tych niżsi stopniem byli Mirzowie, którzy w radzie państwa zasiadali, a podczas wojny dowodzili mniejszemi oddziałami. Tatar jako poganin każdego Chrześcijanina za psa miał, a że nie potrzebował domu ani gospodarstwa pilnować, bo nie miał ani jednego ani drugiego i że już taki był z natury srogi, chciwy krwi ludzkiej i ludzkiego mienia, więc chętnie dosiadał konia i wypadał do obcego kraju na rabunek. Owóż Polski kraj był mu najbliżej; tam więc prawie co roku w licznej gromadzie skradał się zrazu niby lis chyłkiem, cichaczem aż gdy upatrzył porę potemu, rzucał się jak wilk na swoją zdobycz, i często zanim się jeszcze nasi spodzieli i do obrony zerwali, już całe wsie spłonęły w ogniu przez Tatarów i zboża na polu wytratowane były kopytami końskiemi, a mieszkańce jedni poszli w kraj daleki na tatarską niewolę, a drudzy pomordowani srodze, i mienie ich poniszczone, i dobytek wszystek pognany na zieloną trawę tatarskiego kraju. Zaraz w domu co lepszego niewolnika słali na sprzedaż do dalszych krajów, zaś starców i kobiety słabsze dawali dzieciom swoim do zabawki jak zajęcy chartom.

Przed złodziejem i zdradą jak wiadomo, nikt się nie ustrzeże. A jako złodziej był Tatar i zdradliwie nachodził ziemie nasze manowcami po nocy. Najmilszą dla niego rzeczą było wpaść na bezbronnego; zbrojnemu niechętnie zazierał w oczy. Zwłaszcza przed naszymi kozakami niemałego miał stracha, bo to był lud dzielny, wytrwały na zimno i głód, znający się doskonale na wybiegach tatarskich i umiejący ich wszędzie wytropić choćby się nie wiedzieć gdzie skryli. Każdy taki kozak siedział na zwinnym koniu, miał szablę krzywą u boku, łuk z kołczanem przewieszony przez plecy i długą dzidę, która się poganom strasznie nie podobała. Podobnież pancernych naszych wojaków co to byli chłop w chłopa, siedzący na pysznych koniach i

prawie całkiem ubrani w żelazo — gorzej diabła się bali. Najbardziej zaś ich strzelba nie przypadała im do smaku, o czem tak między sobą gadali: Altur puk, dusza jok — co znaczy po naszemu: Gdy strzelba huknie, dusza w ciele stuknie. Zdarzyło się tedy, że im nasi jeszcze rychło w czas zabiegli w drogę i zmusili do walki, wtedy rad nie rad stawili im czoło, rozpoczynając swój taniec Tatarski. A był to taniec niewesoły, bo na śmierć albo życie! Tatar na szybkim koniu zgięty w pół, zwijał się jak kula, a zawsze kołem, a zawsze z dala niby korowodem obiegał naszych, wypuszczając na nich śmiertelne strzały gdyby błyskawice. To znowu zmyślał ucieczkę.... i wtedy dopiero lękaj się Tatarzyna! w ucieczce najniebezpieczniejszy on wróg, bo w każdej chwili gotowy do zwrotu, a wprawny do łuku, a strzały ma ostre i nimeś się spodział, już ci on, dopiero przed tobą umykający, któremu jak się zdało dusza była na ramieniu, jak wściekły zwierz siedzi na karku. Aleć jak to dobrze mówią: że póty się pies nie nauczy pływać, póki mu się do uszów nie naleje woda! — tak też i nasi doświadczając niejedenkroć tego Tatarskiego tańca, tak się z czasem wprawili do niego, że w kąt przed nimi choć i Tatar rodowity! — Toć prawie zawsze, chociaż mniejsi liczbą, gdy go tylko dochwycili — już było po nim. Cóż z tego! kiedy to pogaństwo zaciekłe było jak nieboskie stworzenie i krwi chrześcijańskiej nadewszystko łakome. Więc chociaż mu nasi nie raz dobrą dali nauczkę, którą z jakie ruskie lato popamiętać był winien — nic z tego! ledwie jaki taki stał się spokój, oho! już znowu lezie na to mówiąc jak uparta nierogacizna w naszą szkodę i broi po dawnemu.

— O paskudniki jakieś! przerwie Wojtuś — a bodajże ich pan Bóg ukarał!.... mój tato! i cóż się dziś z nimi dzieje? czy zawsze tacy jak byli rabusie? —

— Gdzie tam, synu! na to ojciec — do czasu dzban wodę nosi, jak ci wiadomo. Toć i im przyszło raz na koniec. Niespełna sto lat temu, popadli oni w ręce rosyjskiego rządu i dzisiaj jużbyś ich nie poznał, Wojtusiu!... taka to teraz ludowina cicha, potulna, a poczciwa i gościnna — ani mu w myśli wojna

i rabunek. I kto wie, może już tam między nimi i pamięć wszelka zaginęła o tem, czem ich ojcowie względem Polski zawinili.

— Ale my popamiętamy ich tatulo! zawoła chłopak nadając sobie srogą minę — oj popamiętamy! zwłaszcza co chodzimy do niższej szkoły. —

— Jakto! podziwuje Walenty, powstając z ziemi i zawdziewając kapotę na rękawy.

— Ta tak, mój tato! prawi Wojtuś, rozkładając z rezonem obiema rękami, — że pan nauczyciel dzień w dzień przypomina nam o tych Tatarach.

— Tak? to pięknie....

— A niech Bóg broni! żeby to było pięknie. Ja się przynajmniej tego strasznie boję.

— Czego, synu! Tatarów?

— A Tatarów pana nauczyciela! Bo to widzi tato, kiedy który chłopiec co zbroi, wtedy pan nauczyciel zaraz: Dajcie mi go tu! niech mu wytataruję skórę, ażeby sobie popamiętał.

Na to majster Walenty w śmiech: To takie wasze Tatary! prawi — no, to jeszcze ujdą, Wojtusiu! skoro tylko niedobrym i swawolnym we znaki się dają.... Ale, oto i do domu już czas bo słonko jeno co się nie schowa — chodźmy!

Chłopiec żywy jak iskra, piorunem stoczył się z góry na dół, za nim powoli, spierając się na lasce, Walenty. Kiedy już byli na równym gościńcu, znowu ojciec zagada:

— Słuchaj-no synu! kiedyć mowa o Tatarach, warta i o księdzu Szykowskim coś powiedzieć, który przed dwustu blisko laty, będąc tu w Przemyślu gwardjanem w klasztorze OO. Reformatów, przy zdarzonej okazyi panom Tatarom porządnie skórę przetrzepał. A właśnie przypominam sobie o tem piękną powieść, ułożoną wierszem przez niejakiego pana Podoleckiego. Posłuchaj!....

Krystyn Szykowski.

A któżto jest? do stu katów —
Na łbie kaptur, w ręku krzyż;
Jak go widzisz tak go pisz.
Sługa to Boski — Krystyn Szykowski
Gwardjan ojców Reformatów.

Ano patrzcie! Przemyśl stary
I budowny i warowny;
Lecz się niebo zaczerwienia,
Po za Wiarem [1]) tlą pożary,
I głos woła od Zniesienia:
To Tatary! to Tatary! —
W mieście rozruch niewymowny,
Pan starosta zamku strzeże,
Kwarcianymi, garstką małą
Zamkowe obsadza wieże,
Więc na zamek wszyscy biegą,
Księża, pany i mieszczany
Co przedniejsze z mnóstwem gratów;
W mieście nic nie pozostało,
Krom narodu ubogiego
I ubogich Reformatów.

Kiedy trwoga — to do Boga!
Więc w kościele Reformatów
Lud pobożny mostem leży.
Ojciec gwardjan mszę odprawił,
Przeżegnał, pobłogosławił,
I z krzyżem z kościoła bieży:
— Pan Bóg z nami, za mną wiara!
Co pod ręką: czy szablica,
Czy samopał, czy rusznica,
Choćby jeno i kół z płota,
Wszystko dobre na Tatara. —
Wysypała się hołota,
Zeszła tabor niespodzianie,
Jednym rzutem, pod Pnikutem [2])
Wpakowała go w parowy.
Tamto bili — Chryste Panie!
Krew zgnoiła pola puste,
Żaden nie mógł unieść głowy;
Tatarzyna, poganina
Het wysiekli na kapustę —
I samego wzięli chana.
A chan wołał: hej, Polaku!
Pokaż mi swego hetmana. —
— Poganinie płaskonosy,

---

[1]) Wiar, rzeka wpadająca do Sanu.
[2]) Pnikut, mała wioska w Przemyskiem.

Ot nasz hetman tamten bosy...
Wytrzeszcz ślepie nieboraku! —
A chan z brody targał włosy
Że go pobił hetman bosy.

Zaledwo ojciec skończył, chłopiec do niego:

— O mój tatusiu! jakież to cudne a składne, cóż kiedy ja tego nie spamiętam sobie od razu.

— To ci przepowiem drugi i trzeci raz, póki się nie nauczysz — rzeknie ojciec, a taki rad był z tej ciekawości swojego Wojtusia, że ktoby nie chciał, toby mu to z oczu wyczytał.

— Dobrze, tatulko! powiada syn — ale nie! jeszcze ja wiem coś lepszego. Tatuś mi powie słowo po słowie, a ja to sobie powoli, jak umiem, spiszę na papierze — a to dla lepszej pamięci. Nieprawda że tak będzie najlepiej?...

— Jak sam zechcesz! odpowie Walenty -- tylko, Wojtek! nie pędź tak prędko, bo nie nadążę za tobą.

— Kiedy mi bardzo pilno do pisania!

— Co się odwlecze, nie uciecze! powolej, synu! ta czy słyszysz... au! — napominał ojciec niecierpliwego chłopca, który jakby go co gnało, tak zbierał drobnemi nóżkami przez miasto do domu.

Historja o Kazimierzu Korsaku.

Z opowiadania starego Macieja.

Bogu dzięki! nie poszła w las wczorajsza nauka Macieja. Od świtu do zmroku pracował synal wedle ojca ochoczo, i ani razu nie użalił się na ciężką pracę. Więc kiedy wieczorem wrócili do domu, i było już po wieczerzy, przypomniał sobie ojciec obietnicę, jaką był dał wczoraj synowi. I wyszli wszystko troje przed chatę na świeże powietrze, i usadowili się jedno wedle drugiego na przyśpie. A wtedy stary Maciej począł opowiadać:

— Za dawnych czasów na Litwie żył niejaki Korsak, pan wielce zamożny. A miałci on syna, któremu było na imię Kazimierz i jedną córkę.

— Ba, tato! zagada parobek; powiedźcie no mi pierwej, co to była ta Litwa, bom ciemny jak w rogu.

— Dobrze synu! cieszy mię żeś taki ciekawy. Ciekawość to piękna cnota! jeno broń Boże, nie ta ciekawość, co ją mają nasze kobiety do lada czego.

— Ot, milczałbyś lepiej, stary! przerwie gosposia i ręką mu usta zatyka. Patrzajcie go, jeszcze czego nie stało! będzie mi na niewiasty wymyślał za ciekawość, jak gdyby już całe chłopu na niej zabrakło! — o!

Ale Maciej nie pyta nic, gębę sobie uwolnił i prawi dalej: — Bo taka babska ciekawość, to jak wiadomo: pierwszy stopień do piekła. Dopiero staje się ona cnotą, gdy ją masz do pracy rzetelnej i pięknej nauki. Litwa, mój synu! to taki kraj polski, jak i nasz, bo i tam Boga chwalą po naszemu i polskim rządzą się obyczajem. Później ona wprawdzie nawróciła się do Chrystusa niż my, miała niegdyś swoich własnych książąt i królów, i była nawet za czasów pogaństwa swego Polsce nieprzyjaźną. Aż kiedy się nasza cudna królewna, imieniem Jadwiga wydała za ich wielkiego księcia Jagiełły i na to królewskie weselisko cała Litwa wraz z księciem swoim przyjęła chrzest święty, wtedy już Litwin i Polak stali się braćmi sobie, jedną wiarę mieli za matkę i jednego króla za ojca. Litwa leży ztąd het na północy, bliżej morza Bałtyckiego. Kraj to zimny, nie najlepszej ziemi, ztąd chleba tam nie do zbytku; zo to ryb i grzybów co niemiara, i miodu słodkiego po pasiekach obfito, i huk zwierzyny po leśnych puszczach. A lud litewski dzielny sobie, Boga miłujący, pracowity i nieutratny, to też rzadko kiedy zazna ciężkiej biedy. Przytem szczery jest i wielce w swoim domu gościnny.

Owóż w tej Litwie był za dawnych czasów pan Korsak, jak powiedziałem, wielkiego bogactwa pan, co miał syna Kazimierza i jedną córkę. Oj! byłoż tam starania i zachodu wedle tych pańskich dzieci, co i wypowiedzieć trudno, zwłaszcza wedle syna jedynaka, przyszłego dziedzica imienia i majątku. I wyrósł Kazimierek na ładnego młodzieńca, i pokończył wszystkie nauki jak na pańskie dziecko przystało, i kiedy stary Korsak umarł, on stał się panem wszystkiego po ojcu. I chyba już ptasiego zabrakło mu mleka!... a przecież pan Kazimierz nie był w sobie szczęśliwy. Bywało nie raz siostrzyczka pyta: — Braciszku mój, co ci takiego, że tak się w sercu gryziesz?... To

znowu krewniacy i przyjaciele: — Kazimierzu! nalegają nań; wypowiedz nam twój smutek który ci z oczu patrzy, a może się znajdzie w naszych rozumach na niego lekarstwo. — Wtedy pan Kazimierz: — kochana siostrzyczko! mili przyjaciele! — powiada — co by mi było! nic, nic!... I uśmiecha się do nich i prosi do wesołej zabawy. Ale niechno go tamci z pod oka wypuszczą, oho! już pan Kazimierz zmyka do swojej izdebki w pałacu i rzuca się na kolana w gorącej modlitwie przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, co go miał po matce zawieszony nad łóżkiem.

I zgadujże, chłopcze! za co pan Kazimierz taki smutek miał na duszy i o co tak gorąco modlił się do Pana Boga?... czy może przez kogo srodze był urażony?... a może tego majątku nie dosyć mu było?... lub też chyba pragnący był sławy wielkiej u świata, a dostąpić jej nie mógł?... jak myślisz?

— Co by ja myślał! odpowie parobek, ruszając ramionami. Może i tak było jak tatuś powiadają — albo ja wiem!

— Nie, synu! rzeknie ojciec — urazy tam żadnej nie było; bo i któżby miał serce, uczynić jakąkolwiek krzywdę tak dobremu i kochanemu panu?... za majątkiem też nie gnał, owszem już od maleńkości okazywał wielką dla niego pogardę. Nareszcie pięknej sławy u świata, gdyby tylko chciał, mógł był jej łacno dostąpić, jako mąż rycerskiego stanu.

— Ej, stary gaduło! wtrąci się Maciejowa — ta bo strasznie nudzisz! to nie, i tamto nie... tedy cóż było prawdziwego w onej pańskiej zgryzocie?

— Matuleńko! powoleńko! zawoła Maciej i pogrozi palcem kobiecie. Co nagle to po diable — więc język za zębami a uszy do góry! bo to nie dla zabawki historja. — I prawił dalej: — Nałamali też sobie głowy nie pomału wszyscy, którzy pana Kazimierza kochali, ciekawi będąc: co się tam w nim działo tak smutnego?... ale naprózno! Sam nie wyjawiał się z tem przed nikim, a znowu z własnego domysłu niepodobna było dociec prawdy. Bo zresztą, któżby się spodział, aby on, który się tak wysoko urodził i wychował w dostatkach, patrzący z okien pałacu na szerokie pola do koła, zatęsknił całem sercem do ciężkiej pracy przy roli i do stanu chłopskiego?...

— Aj, co słyszę! podziwuje parobek — toć to chyba nieprawda być musi! gdzieżbo znowu — o!

— Szczera prawda, mój synu!... tak stoi w książkach podane przez wiarogodnych ludzi, którym wierzyć potrzeba.

— No, to dobrze! przerwie syn po raz drugi. — Ale proszę was tato! o co to było frasować się tak bardzo? wielka rzecz! kiedy już była taka jego wola, mógł sobie kazać wystawić chałupę porządną, wydzielić spory kawał gruntu do tego i ot! byłoby już po całem zmartwieniu.

No to ojciec: — Wiemci ja, przemądra główko! że ty byś sobie zaraz poradził, byle do gotowego. Tymczasem pan Kazimierz, właśnie dla tego że był pan z dziada pradziada, nie mógł sobie tak prędko poradzić. Bo najprzód, nie wiedział on jeszcze doskonale, czy się takowa chęć jego zgadza z wolą Boską — powtóre miał na to uwagę, ażali takie postępowanie syna nie zaboli ojca za grobem, który go na tej ziemi zostawił jedynym potomkiem szlachetnego imienia — po trzecie myślał sobie: jak tu będzie porzucić siostrzyczkę kochaną, krewnych i przyjaciół swoich — a nareszcie, któż wie! czy nie nawykły do tego od małości, podołał by tak ciężkiej pracy?... I oto, co go wprawiało w smutek. Modlił się też gorąco do pana Boga aby go w tym razie oświecić raczył, jak ma sobie postąpić.

Tymczasem kiedy się tak sam ze sobą mocuje, nieprzyjaciel najechał Litwę, ojczyznę jego. Wojska gotowego po tamte czasy nie było — ale skoro wypadło stanąć wobronie kraju, wtedy każdy odbiegał pługa, przypasowywał szablicę do boku, dosiadał konia, zabierał ze sobą synów dorosłych i służbę jaką miał, i z takim pocztem wyruszał w pole na wojnę. Owóż i nasz Kazimierz na pierwszą wiadomość o nieprzyjacielu porzuca wszystko, gromadzi czeladź zbrojną wokoło siebie i nie tracąc drogiego czasu, jedzie na wojnę.

A na tej wojnie wysłany on był razu pewnego ze swymi ludźmi na podjazd. Wieczorem przybył do jednej wioski, a że w pobliżu nie słychać było o żadnym nieprzyjacielu, rozłożył więc żołnierzy swoich po chałupach na nocleg, kilku ustawił na straży i sam nareszcie udał się na spoczynek. Wtem w głęboką noc przypadł nieprzyjaciel. Czujna straż dała znak na trwogę,

Kazimierz piorunem się zrywa, łapie za pierwszą lepszą odzież jaką mógł po ciemku namacać w izbie i z bronią w ręku wypada na pole, aby swoich uszykować i poprowadzić do boju. Pan Bóg dopomógł i pobił nieprzyjaciela, właśnie gdy świtać poczęło. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy spojrzy po sobie i uwidzi się nie w swojej sukni, jeno w prostej chłopskiej sukmanie.

— Widoczny palec Boży!... powiada — sam pan Jezus mię tak ustroił; niechże i na dal pozostanę w tej barwie dla miłości jego.

Skoro też było po wojnie, pan Kazimierz posprzedawał wszystko co miał z kosztowności przy sobie, pieniędzy rozdał między ubogich, czeladź rozpuścił do domu, a sam nic nie mówiąc nikomu, poszedł na głęboką puszczę. Tam żyjąc samemi korzonkami i ziółkami, czas wszystek na gorącej modlitwie trawił, niejako gotując się do stanu nowego, który sobie za Boską wolą miał obrać. A kiedy się już czuł mocnym na duszy, i wszelką prawie naturę w sobie przełamał, dopiero wyszedł z puszczy i do pewnej wioski się udał, wycieńczony postami, spalony od słońca i wiatru, zarosły i obdarty niby dziad jaki ostatni, i tam u pewnego chłopa wstąpił na służbę. Zrazu krzywiłci się chłop po trochu że sobie takiego sługę przyjął, którego w najmniejszej rzeczy trza było pouczać; aleć niebawem przy dobrej chęci umiał on się do wszystkiego nałożyć. Każda robota szła mu jak to mówią od ręki, i nie miał się już gospodarz za co krzywić, bo chociażby prawdę mówiąc, i cały świat zeszedł, nie znalazłby lepszego sługi nad niego. Nie dosyć na tem! z czasem on chłop, upatrując w nim coraz to więcej zalet i mając dziewkę jedyną w domu, chciał mu ją oddać za żonę wraz z całem dziedzictwem. Ale Kazimierz na wszystkich zdziwienie co w nim tylko biednego sługę widzieli, nie przyjął ręki bogatej jedynaczki. Co się chłop nie naprosił! tak by go rad widział swoim zięciem!... nic to wszystko nie pomogło. Zostawszy raz z możnego pana ubogim sługą dla miłości Boga, nie chciał się już wyżej podnosić. Służebny chlebek choć ciężko zarobiony, smacznym mu się wydawał przy Boskiej opiece i dla tego do końca życia nie myśli on go porzucić. Po skończonym

roku podziękował za służbę u gospodarza, któremu tak bardzo był przypadł do serca, i na tem większe upokorzenie szedł do ojczystej wsi, gdzie stanął za parobka u jednego z swoich własnych poddanych. I choć ze swoich, nikt go nie spoznał; wszyscy mieli go już dawno za straconego, a dziedzictwo ojcowskie zagarnęła siostrzyczka, opłakawszy stratę po miłym bracie. Nieraz on na pańszczyznę do dworu chodził, niejednego guza od dworskich oberwał — a nie usłyszałbyś skargi od niego, choćby na marne słówko. Takci na tej służbie całych siedm lat przetwarł, aż nareszcie podupadł na siłach i zaniemógł śmiertelnie. Wtedy skazał gospodarza do siebie:

— Gospodarzu mój! rzecze, — służył ja ci wiernie przez siedm lat, usłuż-że ty mi przy ostatku życia mego. Oto wyjdź na publiczny gościniec, tam napotkasz księdza którego zabierzesz ze sobą i przywiedziesz go do mnie chorego.

Uczynił to chętnie gospodarz, wybieżał duchem na drogę i właśnie jak przepowiedział Kazimierz, nadybał tamtędy jadącego księdza, niejakiego Dominika Podolca, którego też poprosił i przywiódł do chorego, a sam wyszedł z izby. Tedy chory, leżący na grubem posłaniu, zagada po łacinie do księdza. Ksiądz się zdumiał: zkąd znowu u chłopa taka nauka! a jeszcze bardziej gdy go ten powitał po imieniu i nazwisku. Dopieroż na spowiedzi dowiaduje się, kto jest — że to były uczeń jego. Kazimierek syn możnego Korsaka, że z własnej woli obrał sobie ten stan ubogi i pracowity, i jakie za to od pana Boga miewał na duszy pociechy. Wszystko to zeznał umierający Kazimierz pod tajemnicą spowiedzi, żądał aby imienia jego i co się z nim działo ksiądz światu nie ogłaszał, a nakoniec prosił go, iżby go na cmentarzu wiejskim bez nijakiej parady, po prostu obok innych chłopków pogrzebano. Na to otrzymawszy słowo od księdza, czysty on młodzian w ubogiej chatеńce, pod bokiem własnego pałacu Bogu miłego ducha oddał. Ksiądz Dominik póki żył, święcie tajemnicy dochował; dopiero po śmierci jego znaleziono w papierach tę cudowną historję, którą sobie na pamiątkę był spisał, — i ztąd rozeszła się ona po świecie na naszą pociechę i naukę:

— Ta żebyśmy sobie nie krzywdowali w ciężkiej pracy,

bo praca panu Bogu najmilsza; żebyśmy nie zawidzili drugim ich stanu i majątku — gdyż każden stan sobie dobry, a znowu złota niekoniecznie do szczęścia i do zbawienia duszy potrzeba; nareszczie abyśmy żyli uczciwie i rzetelnie w służbie czy na własnym zagonie i Boga nadewszystko kochali, bo tylko na tej jednej drodze uczciwości i Boskiej miłości żyć możem szczęśliwie i nie lękać się śmierci gdy przyjdzie.

— Masz tedy nauczkę synalu mój! kończył stary Maciej — a niech cię Pan Jezus i Matka Najświętsza broni! byś mi jeszcze raz kiedy miał się krzywić na swój stan i wskazywać nie dobrą ręką a okiem zawistnem na pański dwór; bo chociaż ja stary, synu! ale jeszczebym ci, słyszysz, taką frycówkę sprawił, iżbyś po niej dobrze pamiętał lato.

— Jezu ukrzyżowany! zakrzyczy matka — co to ma znaczyć! albo co zbroił, ojcze?

— At! rzeknie Maciej, zabierając się do chaty... na teraz spać! dobrej nocy wam życzę.

— Ale przecie! naciera na męża ciekawa niewiasta.

— Spać! huknie jej stary nad uchem, że na trzy kroki w tył odskoczyła.

— Co ty sobie myślisz, chłopie! tak wrzeszczeć aże mi w uchu zadzwoniło.

— Aj matko, a w którem?

— Ta w lewem.

— Chwała Bogu! będzie na moje sianko pogoda; rzeknie śmiejąc się Maciej i wszedł do izby.

— O! o! patrzcie go!... jeszcze sobie pokpiwa — ej staruchu! — pogrozi na żart kobieta, przymykając drzwi od sieni na zasuwę.

RÓŻNOŚCI.

Kominiarczyk królewski. Król Stanisław August Poniatowski zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu za szklannym parawanem leżenie wygodne, gdzie niewidziany od nikogo spoczywał. Kiedy się zabierał do tej drzymki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi, i składał to wszystko na małym stoliczku przy marmurowym kominie.

W dniu jesiennym, pochmurnym, po obiedzie już się król położył i zaczął drzymać, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem pokoju, który się coraz więcej zbliżał, i stawał wyraźniejszym i głośniejszym. Król podnosi głowę: słysząc łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, i patrzy zza szklannego parawanu, co to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściło, i z czeluści jego wyskoczył mały, zawalany kominiarczyk, dziecina mająca może siedm lat lub ośm najwięcej. Chłopczyk skoro przetarł oczy z sadzy, ujrzawszy tak pięknie pokój przystrojony, najprzód zdjął czapkę, potem się przeżegnał, myśląc że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł, i z uśmiechem poglądał, co będzie dalej robił kominiarczyk. Ten oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmielej, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole; powkładał więc sobie pierścienie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, włożył zegarki za koszulę, i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiem zwierciadłem. Jak się przejrzał, tak był rad, że się sam sobie ukłonił, poczem zaczął z lekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie, i patrzał z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, po chwili spoczynku, zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki. Wszystko na dawnem miejscu ułożył, a gdy się spojrzał, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena, kazał się zaraz dowiedzieć o chłopcu, i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto go i ubrano czysto. Z pod czarnej sadzy wyjrzała twarzyczka czerstwa i wesoła, z rozumnem spojrzeniem. Król się go spytał: czy to on co się przebierał w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do tej winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłej ze strachu twarzy, dał mu piękny podarunek i kazał go uczyć w szkołach; bo ośmielony łaską monarszą, oświadczył był wielką chęć do nauk.

Nazywano go odtąd kominiarczykiem królewskim; w szkołach nawet nosił ten tytuł i wcale tego się nie wstydził, owszem to sobie za chlubę miał. W kilkanaście lat potem wszedł do wojska; służył przy armatach w 1792 roku, w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działo, od kóli armatniej poległ.

Król dowiedziawszy się o śmierci kominiarczyka królewskiego, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny jak waleczny. (z Cz. N.)

Wielkie burze w dawnych latach. Nie masz już dzisiaj u nas ani tych lasów odwiecznych, ani tych puszcz nieprzebytych, ani tych jezior i stawów tak gęstych, z jakich słynęła dawna Polska; toż za to powoli zmieniła się i natura kraju naszego. Po dziś dzień nie słychać już ani o takich mrozach, ani o burzach tak gwałtownych, jakie dawniej bywały. Wprawdzie nie bez tego, żeby i po te czasy nie poczyniły jakie szkody grady, pioruny, zawierzuchy... ale to

wszystko ani się nie umyło do dawnego. I tak roku 1687 na dniu 3. lipca, a więc temu już będzie 171 lat — kiedy w okolicy Warszawy, a nawet i w samem mieście, burza niesłychane sprawiła szkody. Grad padał tak wielki jak kurze jaja, a wicher w jednem miejscu do dwa tysięcy wierzb, sporych na trzy chłopy, powalił na ziemię, a w drugim większą połowę jodłowego lasu wyłamał i powyrywał z korzeniem. Zaś w samej Warszawie, na jednem tylko przedmieściu ze trzydziestu domów pozrywał dachy, powykręcał belki, i krokwie połamał na drobne drzazgi. — W dziewięć lat potem w warownem mieście Smoleńsku jeszcze sroższa panowała burza. Prawie nie do uwierzenia, co ona tam nie nabroiła!... Działo się to w miesiącu sierpniu o godzinie 6. wieczorem. Od południa okazała się na niebie jedna strasznie czarna chmura, a druga jakoby ognista. Obie te chmury gwałtownem wichrem gnane, zetknęły się potężnie z sobą nad samem miastem. Wnet też szmaty nakształt ognia z obłoków na miasto padały i piorun bił po piorunie. Przytem wicher dziwności tam dokazywał: 26 setnych baszt obalił, murów wielkich mocno naruszył, zniósł 500 murowanych zubców czyli strzelnic, 10 cerkwi niektóre z fundamentem wywrócone, innym krzyże, dachy poznosiło, dzwon jeden aż za wały ostatnie wyniosło, bydła wielką moc pobiło, ludzi 17 na śmierć i niemal dwie części miasta mniej więcej, uszkodziło.

Wet za wet. Pewien kmieć prawując się z sąsiadem, oddał sprawę pisarkowi pokątnemu w pobliskiem mieście. Po ukończeniu procesu trza było zapłacić pisarzowi. Kmieć w głowę się poskrobał, bo mu pan pisarz bardzo wielką sumę naliczył za to swoje pisanie. — E, proszę jegomości!—prawi; toć to tam strasznie rozwlekło pisane, nie mogłoby to być odrobinę ściślej, hę?... Tego wy, miły człeku, nie rozumiecie — odpowiedział pisarz; to jest właśnie urzędowne pisanie. Jeżeli nie macie pieniędzy, to mi możecie za to zorać kilka mórg roli.— Ha! powie kmieć — co mam z panoszkiem robić! kiedy trzeba to trzeba. — Nazajutrz chłop z pługiem zajechał na pole i wziął orać, ale skiba od skiby na dwie stopy. Około południa nadchodzi pan pisarz, i jak popatrzy na taką orkę, skoczył jak oparzony: — Coś zrobił człeku! zawołał—czyś oszalał? toć to na podziw szeroko zorane! — za nic cała robota! — Ciekawym dla czego? odrzekł kmieć spokojnie; albo to się pan na tem rozumiesz?... ta to właśnie urzędowna orka... Kłaniam się uniżenie!... I odjechał z pługiem do domu.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają.
2. Czapką, chlebem i solą, ludzie ludzi niewolą.
3. Grzechy młodości, karze Pan Bóg na stare kości.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**